



EDGAR ALLAN POE

Serce oskarżycielem


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

EDGAR ALLAN POE

Serce — oskarżycielem

TŁUM. BOLESŁAW LEŚMIAN

Bez wątpienia — jestem zbyt nerwowy, strasznie nerwowy, zawszem był taki... Na jakiej wszakże zasadzie chcecie koniecznie upatrzeć we mnie szaleńca? Choroba zaostrzyła moje zmysły — nie znicestwiła ich — nie przytłumiła. Ponad innymi zmysłami — słuch mój górował niezwykłą czujnością. Słyszałem wszystko, cokolwiek działo się w niebiosach i na ziemi. Słyszałem wielec z tego, co się działo w piekle. Skądże mi do szaleństwa? Chwila uwagi! Baccie jeno, z jakim nadmiarem zdrowia i pogody ducha mogę wam opowiedzieć wszystko, co się stało.

Określenie tego, jakim sposobem wiadoma myśl powstała pierwotnie w mym mózgu, wymyka się wszelkim możliwościom. Wszakże od chwili powstania myśl ta przebywała we mnie dniem i nocą. Przedmiot? Myśl była bez przedmiotu. Była pozbyta¹ wszelkiej namiętności.

Lubiłem pocziwego starucha. Nigdy mi nic złego nie uczynił. Nigdy mnie nie uraził. Nie pożądałem zgoła jego złota. Przypuszczenia moje dotyczą raczej jego oka... Tak, to było to! Miał jedno oko podobne do sępiego — oko płowoniebieskie, bielmem przysłonięte. Ilekroć to oko zwracało się ku mnie, tylekroć krew we mnie stygła, i oto — z wolna — stopniowo — uknęła mi się w głowie zachcianka odebrania starcowi życia, aby w ten sposób raz na zawsze uwolnić się od jego oka.

Otóż właśnie, tu tkwi sęk! Sądżicie mnie szalonym². Szaleni nie wiedzą nic a nic. Gdybyście mogli jednak podpatrzeć, jak sprawnie działałem! — Jak ostrożnie, jak zapobiegliwie, jak przebiegle zakrzętałem się dokoła mej roboty! Nigdy nie byłem dla starucha tak uprzejmy, jak w ciągu całego tygodnia, który poprzedzał spełnienie morderstwa. I co noc — około północy — pokręcałem zasuwę jego drzwi — i otwierałem je — o, jakże bezszmerne³! I w chwili, gdy uchylał drzwi na objętość mej głowy, wsuwałem ślepa latarnię, zamkniętą szczelnie, szczelnie zamkniętą, wzbraniającą przypustu⁴ najmniejszemu promieniowi — w ślad za nią wtlaczałem głowę. O, moglibyście się uśmieć, widząc, jak zręcznie wtlaczałem głowę. Nadawałem jej ruch powolny, bardzo powolny, by nie zakłócić snu starca. Dobrą godzinę musiałem tracić na przewleczenie mej głowy poprzez otwór tak daleko w głąb, aby go oglądać zmożonego snem na łożu. Szalenciec — czyż zdobyłby się na taki rozsądek? I w chwili, gdy głowa moja przebywała goła w pokoju, odsłaniałem latarnię w spokoju, ostrożnie — o, jakże ostrożnie, jak ostrożnie! Zawiasa⁵ bowiem powrzaskiwała. Odsłaniałem jeno tyle, ile było trzeba, ażeby jedna, niepochwytna nić światła trafiła do sępiego ślepie. I w tej czynności ćwiczyłem się przez siedem długich nocy — co noc — o samej północy, lecz zastawałem zawsze ślepie zamknięte, nie mogłem przeto dopełnić mego zamiaru, nie starzec bowiem mnie męczył, lecz jego Złe Oko. I co rano, gdy dzień świtał, wchodziłem beczelnie do jego pokoju, zawiązywałem z nim śmiało rozmowę⁶, nazywając go po imieniu głosem serdecznym i zapytując, jak spędził noc. Owóż — wyznajcie, że staruch — zaprawdę —

Oko, Zbrodnia

Szalenciec

¹pozbyta — popr.: pozbawiona.

²sądżicie mnie szalonym (przestarz.) — sądżicie, że jestem szalony.

³bezzszmerne (neol.) — bez szmeru, bezszelestnie.

⁴przypust (neol.) — dostęp.

⁵zawiasa (przestarz.) — dziś: zawias.

⁶zawiązywać (...) rozmowę — dziś popr.: nawiązywać rozmowę.

musiałby chyba posiadać duszę nadzwyczaj przenikliwą — aby wpaść na domysł, że co noc o samej północy badam go zdjętego snem.

Ósmej nocy powziąłem większą jeszcze baczność przy rozwieraniu drzwi. Mniejsza wskazówka zegara szybciej się porusza, niżli wówczas dłoń moja. Nigdy, do czasu tej nocy, nie odczułem tak w pełni mych sił — bystrości mego umysłu. Pomyśleć jeno, że był tuż, ja — cierpliwy rozwieracz drzwi — a jemu nawet nie śniło się o tym, co czynię i co zamierzam potajemnie! Na myśl o tym — uroniłem nieco śmiechu — i, być może, starzec mnie posłyszał, gdyż zniecacka poruszył się na łożu, jakby się ocknął. W takiej chwili — sądzicie zapewne, że się cofnąłem? — Bynajmniej! Pokój jego był czarny niby smoła — tak się w nim zagęstwiły cienie — okiennice bowiem z obawy złodziei⁷ były starannie zamknięte; tedy wiedząc, że starzec nie może dojrzeć półrozwarcia drzwi, rozchylałem je nadal coraz więcej, coraz szerzej. Przesunąłem już mą głowę i dotarłem do chwili odsłonięcia latarni, gdy duży mój palec pośliznął się na blaszanym zamku i starzec, wyprostowawszy się na łożku, zawołał: „Kto tam?” Znieruchomiałem całkowicie i nie odrzekłem nic. Przez godzinę całą nie poruszyłem ani jednym ścięgnem i przez cały ten czas nie słyszałem, aby się do snu ponownie układał. Trwał wciąż w postawie siedzącej, na czatach — zupełnie tak samo jak ja, gdy po całych nocach nasłuchiwałem świerszcza ukrytego w murze.

Lecz oto posłyszałem wąty jęk i wnet poznałem, że był to jęk śmiertelnego prze-
rażenia. Nie był to jęk bólu ani rozpaczy — o, nie! Był to głuchy i zdławiony wydech, który się dobywa ze dna duszy, zmiążdżonej przestraczem. Znałem dobrze ów wydech. Przez wiele nocy o samej północy, gdy spał świat wszystek, wyrwał się on z mej własnej piersi, wyotchlaniając⁸ swym straszliwym echem widma trawiących mię przerażeń. Powtarzam: znałem go dobrze. Wiedziałem, czego doznawał starzec, i czułem dlań litość, chociaż się śmiało coś w mym sercu. Wiedziałem, że trwa ockniony od chwili pierwszego, maluczkiego szmeru, gdy się przewracał na łożu.

Lęk jego wciąż się wzmagał. Starał się, ale nie mógł przekonać siebie samego, że lęk to bez przyczyny. Mówił sam w sobie: „To nic innego, jeno wiatr w kominie — to tylko mysz przemknęła wzdłuż podłogi” — albo: „to tylko świerszcz zazgrzytał”.

Tak, silił się dodać sobie otuchy takimi domysłami, ale to *wszystko było nadaremne*. Wszystko było nadaremne, albowiem śmierć, która się zbliżała, przeszła obok niego ze swym wielkim, czarnym cieniem i spowiła weń swoją ofiarę. I właśnie żałobna przemoc niewidzialnego cienia zdziałała, iż *wyczuł* (choć starzec nic nie widział i nie słyszał) pobyt mej głowy w pokoju.

Przeczekawszy czas długi — bardzo cierpliwie i nie słysząc, aby się do snu ponownie układał, postanowiłem odsłonić z lekka latarnię; lecz tak z lekka, tak z lekka, jakby wcale nie. Odsłoniłem ją wreszcie tak niepostrzeżenie, tak niepostrzeżenie, że trudno to sobie nawet wyobrazić, aż w końcu samotny, błądy promień, na kształt nici pajęczej, wysunął się ze szczeliny i padł na sępie oko.

Rozwarło było, na oścież rozwarło i wpadłem we wściekłość w tej samej chwili, gdy je ujrzałem. Ukazało mi się z doskonałą jasnością — całe — w zadymce błękitnej i powleczone pokalaną błoną, której widok zmroził mnie aż do szpiku kości. Z całej twarzy jednak i z całej postaci starucha nie mogłem dojrzeć nic, prócz tego, com zobaczył. Skierowałem bowiem promień, jakby pod wpływem instynktu, nie gdzie indziej, jeno właśnie w samo sedno przeklętego miejsca.

Otóż tedy — czyż wam nie nadmieniałem, że to, co uważacie za szaleństwo, jest jeno przeczuleniem zmysłów?

Otóż — powiadam wam — dotknął mych uszu głuchy, zdławiony, częstotliwy szmer, podobny do tego, który wytwarza zegarek, owinięty w watę. *Dźwięk ów* poznałem tak samo i niezgorzej... Było to bicie serca w piersi starucha. *Dźwięk ów* wzmógł moją wściekłość, na kształt uderzeń bębna, które podjudzają odwagę żołnierza. Wszakże pohamowałem się raz jeszcze i trwałem nadal bez ruchu.

Oddychałem z trudnością. Znieruchomiłem w dłoni latarnię. Sposobiłem się do utrwalenia promyka wręcz — na samym ślepiu. A jednocześnie serce biło na alarm nieco

⁷z obawy złodziei — z obawy przed złodziejami.

⁸wyotchlaniać (neol.) — być może: wydobywać z otchlani.

Strach

Śmierć

Cień, Przeczucie

Szaleństwo

Serce, Dźwięk

Morderstwo, Szaleństwo

mocniej. Uderzenia jego nabierały co chwila pośpiechu i nabierały co chwila odgłosu. Według musowego prawdopodobieństwa przerażenie starca dosięgało kresów ostatecznych. Odgłos owych uderzeń z każdą chwilą — powtarzam — stawał się mocniejszy i mocniejszy! Uważnij mnie słuchacze? Wszakże was uprzedziłem, że jestem nerwowym, i rzeczywiście — jestem nerwowym.

I oto — w pełni nocy, wpośród przeraźliwego milczenia tego starego domostwa — ów tak osobliwy szmer poraził mnie niepokonanym lękiem. W przeciągu kilku mgnień następnych wciągałem się i trwałem nieporuszenie. Lecz odgłos uderzeń wciąż wzmacniał się i wzmacniał. Zdawało mi się, że serce pęknie. I oto ogarnęła mnie troska nowa! Dźwięk ów mógł dolecieć uszu sąsiada! Godzina starca wybiła! Wyjąc wniebogłosy, odsłoniłem nagle latarnię i wdarłem się do pokoju. Staruch wydał jeno tylko okrzyk — jeden — jedyny, w okamgnieniu cisnąłem nim na oślep o podłogę i przytłoczyłem go całym miażdżącym ciężarem łoża. I tu się dopiero uśmiechnąłem radośnie na widok tak wynagrodzonych trudów. Lecz przez kilka minut serce się ożywało zakapturzonym wydźwiękiem. Ta wszakże okoliczność nie trwożyła mię zgoła, nikt bowiem nie mógł poprzez mury dosłyszeć owego wydźwięku. A i ten się z wolna uciszył. Staruch był martwy. Podniosłem łoże i zbadłem ciało. Tak, na miejscu padł trupem — na miejscu. Przyłożyłem mu dłoń do serca i przetrzymałem ją tam kilkanaście minut. Ani śladu tętna. Padł trupem na miejscu. Odtąd już jego ślepie nie będzie mnie dręczyło.

Jeśli trwacie w przekonaniu, że jestem szalony — przekonanie owo pierzchnie, gdy wam opiszę, jakich przebiegłych sposobów użyłem dla ukrycia trupa. Noc nadchodziła, a ja pracowałem pośpiesznie, chociaż w milczeniu. Odciałem głowę, a potem ręce — a potem — nogi.

A potem wylamałem trzy deski z podłogi i złożyłem wszystkie zespół⁹ pomiędzy dranicami¹⁰. A potem przystosowałem deski do dawnego miejsca tak zręcznie, tak chwacko, że żadne oko ludzkie — nawet *jego oko* — nie mogłoby dojrzeć nic podejrzanego. I nic nie było do zmycia, ani jednej plamy, ani jednego śladu krwi. Byłem zbyt z tym zapobiegliwy. Nic nie zostało na dnie pełnego przed chwilą cebrzyka! Cha, cha!

Gdy dokonałem tych wszystkich zabiegów, była godzina czwarta i ciemno, jak o północy. Podczas gdy zegar wydzwaniał godzinę, zapukano do drzwi od ulicy. Lekko mi było na sercu, gdy szedłem otworzyć — czegoż bowiem bać się mogłem — *obecnie*? Weszło trzech ludzi, którzy z przedoskonalonym ugrzeczzeniem przedstawili mi się jako urzędnicy policyjni. Pono ktoś z sąsiadów słyszał nocą jakiś okrzyk, dzięki temu powstało podejrzenie, że zaszło coś złego — podano wiadomość do biura policji — i ci panowie (urzędnicy) przybyli właśnie, jako wysłańcy, gwoli zbadania miejsca.

Uśmiechnąłem się — jakież bowiem miałem powody do obaw? Gościnnie powitałem tych jegomościów. „Co do krzyku — rzekłem — sam właśnie przez sen krzyknąłem. Stary zaś człeczyna — dorzuciłem — udał się w podróż po kraju”. Oprowadziłem mych gości po całym domu. Prosiłem, aby wszędzie zajrzeli i aby zajrzeli *dokładnie*. Wreszcie wprowadziłem ich do jego pokoju. Pokazałem im cały jego dobytek w zgoła bezpiecznym schronieniu i w bezwzględnym ładzie. Przesadzając w zapale ufność we własne siły, wniosłem krzesła do pokoju i prosiłem ich, aby spoczęli, podczas gdy sam z zawrotną odwagą zupełnego triumfu utwierdziłem swe krzesło w tym samym właśnie miejscu, gdzie były ukryte zwłoki ofiary. Urzędnicy wykazali zadowolenie. Przekonało ich moje postępowanie. Czulem osobliwy błogostan. Usiedli i zagaili rozmowę byle jakiej treści, ja zaś wesoło im odpowiadałem. Lecz po upływie pewnego czasu poczułem, że błędę, i pożałowałem w duszy ich odejścia. Począł mię dręczyć ból głowy i zdawało mi się, że mi dzwoni w uszach. Oni wszakże nie powstałi z swych siedzeń i rozmawiali nieustannie. Dzwonienie wyrażniało. Trwało wciąż i wyrażniało coraz bardziej. Wzmogłem swoją gadatliwość, aby się odciągnąć od owego wrażenia. Lecz dzwoniło dobitnie i przybrało cechy zgoła nieodparte, aż w końcu wykryłem, że to nie w uszach moich dzwoni.

Bez wątpienia — bardzo wówczas poblądłem. Lecz gawędziłem ze zdwojoną jeszcze płynnością i głosem podniesionym. Dźwięk wciąż się rozrastał — co miałem począć? Był

Trup, Grób, Zbrodniarz

Dźwięk, Serce, Wyrzuty sumienia, Zbrodniarz

⁹wszystek zespół — cały zespół (fragmentów ciała).

¹⁰dranica — deska z drzewa iglastego.

to szmer głuchy, zdławiony, częstotliwy, szmer niezwykle podobny do tego, który wytwarza zegarek, owinięty w watę.

Oddychałem z trudnością. Urzędnicy nie słyszeli jeszcze. Zacząłem gadać szybciej i z większą gwałtownością, ale szmer wzmagał się nieustannie. Wstałem i wszcząłem spór o jakieś drobnostki w tonie wielce wzniosłym, z przydatkiem gestów popędliwych, lecz szmer się wzmagał — wzmagał nieustannie. Czemuż ci ludzie nie *chcą* stąd odejść? Tam i sam — ciężkimi i wielkimi krokami zacząłem odmierzać pokój, jakby rozjątrzony uwagami moich rozmówców. Lecz szmer wzrastał miarowo. O, Boże! Cóż miałem począć? Burzyłem się — plotłem trzy po trzy — przeklinałem. Poruszałem krzesłem, na którym siedziałem, szurałem nim po podłodze. Wszakże szmer wciąż trwał i wzmagał się bez końca, Krzepnął¹¹ coraz bardziej — coraz bardziej i wciąż coraz bardziej. A goście wciąż gadali — i uśmiechali się — i żartowali. Możliweż to, że nic nie usłyszeli? Boże wszechmogący! Nie, nie! Słyszeli! — Domyślali się! — *Wiedzieli!* Bawili się jeno moim przerażeniem! Tak pomyślałem — i dotąd jeszcze tak myślę. Wszystko byłoby łatwiejsze do zniesienia, okrom¹² tego pośmiewiska. Nie mogłem znieść dłużej tych uśmiechów! Uczulem, że albo krzyczeć muszę, albo skonać! I teraz jeszcze — czy słyszycie? — Nasłuchujcie! Coraz głośniejsz, coraz głośniejsz, wiecznie głośniejsz, *wiecznie głośniejsz!*

— „Nikczemni! — krzyknąłem — Nie udawajcie dłużej! Wyznaję wszystko! Zerwijcie te deski! To — tam! To — tam! To — trzepot *jego* straszliwego serca!”

¹¹*krzepnąć* — tu: przybierać a siłę; por.: krzepa.

¹²*okrom* — oprócz.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/serce-oskarzycielem>

Tekst opracowany na podstawie: Edgar Allan Poe, *Maska śmierci szkarlatnej*, tłum. Bolesław Leśmian, Oficyna wydawnicza Latona, Warszawa 1992.

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Weronika Trzeciak.

Okładka na podstawie: Jill Clardy@Flickr, CC BY-SA 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.